

BIULETYN INFORMACYJNY

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

Nr. 15

październik-listopad 1978

Zdając sobie sprawę z trudności, jakie napotyka czytelnik polski, pragnący zapoznać się z poglądami prasy zachodniej, chcielibyśmy, w sposób z pewnością niepełny i z konieczności ograniczony warunkami naszej pracy, wyjść naprzeciw tym potrzebom.

REDAKCJA

Newsweek, 14.VIII.1978

AFRYKA I SZEKSPIR - Anthony Sampson

Jest mało prawdopodobne aby ktokolwiek, kto próbuje zrozumieć obecne zamieszanie w Afryce - przewroty i kontrprzewroty, wojny domowe i masakry - pokładał zbyt wiele wiary w starannych analizach opracowywanych w Waszyngtonie czy Londynie. Wszystkie poufne obliczenia czy przewidywania o gospodarce, armiach i głosowaniu zmieniają się całkowicie dotarłszy do Afryki. Afrykańskie walki o władzę odmawiają podporządkowania się prawidłowości Parlamentu w Westminsterze, a ruch przeciw apartheidowi w Afryce Południowej nigdy nie zachowuje się dokładnie tak, jak ruch w obronie praw obywatelskich na południu Stanów Zjednoczonych. Co do mnie, to znalazłem dużo lepszego, choć niekonwencjonalnego przewodnika w sprawach afrykańskich: Williama Szekspira.

Zarekomendowano mi go po raz pierwszy, kiedy prawie 30 lat temu pojechałem do Afryki Południowej wydawać czarny magazyn o nazwie "Werbel" /Drum/. Opuściłem właśnie Oxford, gdzie, jak myślałem, posiadam dokładną znajomość Szekspira i innych elżbietańskich dramaturgów, lecz rozmawiając z młodymi czarnymi pisarzami wkrótce odkryłem, że rozumieli oni Szekspira w znacznie bardziej intymny sposób, cytując fragmenty, których nigdy nie uważałem za znaczące.

Byli szczególnie zafascynowani "Juljuszem Cezarem". Był to dla nich wstrząsający przewodnik po ich własnym, współczesnym świecie tyranii, spisków i potencjalnej rewolucji. Ukrywane, szeptane rozmowy pomiędzy

spiskowcami przeciw Cezarowi były częścią codziennego życia w czarnych dzielnicach miast. Widzieli samych siebie przygniecionych własnym poczuciem niższości wobec białego Cezara, który widzi, że "Rzymianie są tylko stadem owiec". Jak Kasjusz czuli, że odkrywają swą prawdziwą siłę: "Wina, drogi Brutusie, leży nie w gwiazdach, lecz w nas samych, bo jesteśmy sługami".

I rzymski motłoch był wszędzie wokół nich w czarnych dzielnicach, grożąc zredukowaniem każdego ruchu do chaosu. "Krzycz zniszczenie i spuść psy wojny". Wracając do Szekspira, wkrótce odkryłem życie czarnej Południowej Afryki rojące się od szekspirowskich skojarzeń, zarówno tragicznych jak i komicznych z zapleczem Falstaffów, Pań Quickly i Tobiaszów Czkawka i proscenium pełnych tyranów, morderców i zdrajców.

Od tego czasu, obserwując jak czarne państwa uzyskiwały niepodległość w pozostałej części Afryki, znajdowałem Szekspira wciąż bardziej znaczącym. Gdy nowi czarni władcy i prezydenci czuli swą siłę i stawiali twarzą w twarz ze wszystkimi pokusami i niebezpieczeństwami władzy, gdy usuwali swych rywali lub byli obaleni przez nich, ich życie i kłopoty wydawały się bardzo bliskie królom Szekspira.

Pierwsza wielka nadzieja nowej Czarnej Afryki, Kwame Nkrumah z Ghanu znalazł się wkrótce na drodze do megalomanii i paranoi w stylu Rysharda III. Dwa spośród najbogatszych nowych narodów, Kongo i Nigeria uwikłały się w wojny domowe straszniejsze niż Wojny Dwóch Róż w "Henryku VI". A w Ugandzie najnieszczęśliwszym spośród wszystkich naszych państw, Idi Amin popełniał okrucieństwa godne najkrwawszych dramatów grozy Szekspira, nawet "Tytusa Andronikusa".

Ze wszystkimi niebezpieczeństwami i szczepowymi rywalizacjami młodych narodów, nawet władcy ze szczytnymi zasadami i chrześcijańskim wychowaniem znaleźli się otoczeni i pozbawieni poczucia bezpieczeństwa. Widzieli jak poddawano w wątpliwość legalność ich władzy i stawiali się podobni do króla Henryka IV, który próbował zwalczyć rebelię walijską, martwiąc się jednocześnie o legalność swej władzy. Kenneth Kaunda z Zambii, szczególnie faworyt brytyjskich liberałów zagrożony rewoltą wewnętrzną i katastrofą rodezyjską rozprawił się bezlitośnie ze swymi przeciwnikami. Julius Nyerere z Tanzanii, uważany za króla-filozofa wśród afrykańskich władców, czuł się zmuszony do więzienia coraz większej i większej ilości przeciwników bez sądu.

Stawki w grze o władzę były wysokie i, bez sformalizowanego systemu opozycji, czarne państwa wypracowały swoje własne surowe prawa. Stare konflikty pomiędzy rządami i prawami człowieka, pomiędzy kościołem i państwem tak palące w czasach Szekspira, były rozwiązywane na nowo. Brak poczucia bezpieczeństwa wyłaniającego się narodu był przedmiotem obsesyjnej troski Szekspira, który oglądał pokój epoki elżbietańskiej osiągnięty po śmiertelnych walkach między rywalizującymi pretendentami do tronu. Nieustannie opisywał okrucieństwa i męki wojny domowej, skutki tyranii i słabości królów i bitwy o kwestionowane granice. A w swych najbardziej elokwentnych mowach wciąż podnosił zalety ładu i legalnego rządu.

Paralele z Szekspirem nie oznaczają, że Afryka jest opóźniona o trzy stulecia. Nikt, kto widział okropności Hitlera i Stalina nie może być pewny, że Europa w dwudziestym stuleciu jest bardziej cywilizowana.

Ale tym, co czyni Szekspira tak żywym i ważnym we współczesnej Afryce jest jego pełne pasji zainteresowanie problemami nowych narodów wyłaniających się z powiązań szczepowych i obcego ucisku. Czarni władcy nawet jeśli przejęli w spadku pułapki parlamentarnej demokracji, muszą dziś sami dla siebie wypracowywać podstawę swego bezpieczeństwa i legalności. Mają prawie absolutną władzę ze wszystkimi możliwościami, aby użyć jej mądrze lub zostać przez nią skorumpowani. Mają wszystko co potrzebne do wielkości lub tragedii.

Podczas gdy władcy borykają się z problemem legalnego użycia władzy, dominująca sprawa rasy przebiega Czarną Afrykę jako jatrzący ele-

ment, równie okrutny i nietolerancyjny jak stare wojny religijne w Europie. Podobnie jak w przypadku tych wojen, rasowe walki w Afryce prowadzą do ekscesów po obu stronach. Działania białych Południowych Afrykanów degenerują się właśnie w ten rodzaj brutalności, o który oskarżają oni swych czarnych przeciwników. Czarne państwa łatwo mogą znaleźć swoją wojowniczość i pasję korumpującą ich własne poczucie sprawiedliwości i wolności.

Jakie nauki mogą być wyciągnięte z tych szekspirowskich precedensów? Odpowiedzią jest nieprzebaczenie tyranom Czarnej Afryki. Szekspir był nieugięty co do moralnej odpowiedzialności monarchów, a jego król-bogater Henryk V był najbardziej współczującym i najbardziej zdolnym do bratania się z ludem. Szekspir widział pokój narodów jako delikatną równowagę pomiędzy sprawiedliwością i posłuszeństwem, równowagę, która była jedynym sposobem osiągnięcia "jedności i zgodnego spokoju państw".

Odpowiedzią jest także, żeby nie lekceważyć złożoności szczepowych rywalizacji. Prymitywne uproszczenia obcych mocarstw na temat dzisiejszej Afryki jako pola bitewnego pomiędzy pro-radzieckimi i pro-zachodnimi siłami, są równie mylące jak próba opisanie Brytanii Szekspira bez wzmianki o Walijszykach czy Szkotach.

Wreszcie odpowiedzią jest, żeby nie wierzyć, że obca interwencja może dać trwałe rezultaty wśród narodów, które są pobudzane nowym poczuciem patriotyzmu. Dla supermocarstw, nadzorujących zawiły splót afrykańskich narodów i szczepów, z tradycjami tak różnymi i historiami bardziej złożonymi niż szekspirowskie, najbardziej oczywista rada pozostaje też i najlepszą: trzymajcie się od tego z daleka.

TERROR W GWINEI RÓWNIKOWEJ.

"Fidélité et Renouveau" biuletyn Sekretariatu Konferencji episkopatów Górnej Wolty i Nigeru z lipca 1978 ogłosił następującą informację p.t. "Rywal Amina Dada: Francisco Macias Nguema".

"Dożywotni prezydent, głównodowodzący, wielki mistrz oświaty, nauki i kultury, przewodniczący Jedynej Narodowej Partii Robotników i jedyny cud Gwinei" - oto wizytówka, jaką dyktator Francisco Macias Nguema kazał wyrzeźbić na swych niezliczonych pomnikach, wzniesionych z jego polecenia w kraju, którym rządzi od 1968 r.

Jakkolwiek mniej znany od Amina Dada, dyktator Macias Nguema stojący na czele małego kraju o którym niewiele się mówi, Gwinei Równikowej /dawnej hiszpańskiej/ położonego między Kamerunem a Gabonem, jest nie mniej od niego okrutny.

Podczas swych dziesięcioletnich rządów rozkazał zgładzić za pomocą picia kijami /"specjalność gwinejska", która jak mówi pozwala mu na oszczędzanie drogich naboii/ od 15 do 20 tysięcy swoich współobywateli.

By uniknąć tych ciosów członków organizacji "Młodzież krocząca z Maciasem", 150.000 mieszkańców Gwinei /prawie co drugi spośród jej obywateli/ uciekło do sąsiednich Gabonu i Kamerunu oczekując lepszych czasów.

Nawet trzecia żona dyktatora, Monika, uciekła w końcu stycznia do Hiszpanii, gdzie się ukrywa. Natychmiast na rozkaz prezydenta zabroniono kobietom w Gwinei noszenia imienia Monika.

Ten sam prezydent postanowił zmienić znak krzyża i nakazać księżom aby mówili: "W imię prezydenta Maciasa, Ojca, Syna...". Obaj miejscowi biskupi zostali wysiedleni z kraju, wielu kapłanów uwięziono, jedynie niewielu pozostają na swobodzie.

W szkole wszystkie dzieci muszą obowiązkowo śpiewać: "Bóg stworzył Gwineę Równikową z woli ojczulka Maciasa i bez ojczulka Maciasa nie byłoby Gwinei Równikowej".

Pochodząc sam z plemienia Fangs stanowiącego większość na wyspie Fernando Po /obecnie Macias Nguema/ dyktator narzucił krajowi dyktaturę

plemienną dając Fangsom kierownicze stanowiska, ale swoją ochronę osobistą powierzył pretoriańskiej gwardii złożonej z Kunańczyków.

Podczas gdy pod panowaniem hiszpańskim Gwinea Równikowa była krajem zasobnym, eksportującym 45 000 ton kakao w roku 1968, to w roku 1976 produkcja spadła do 14 000 ton.

Macias uważa kraj za swe prywatne latyfundium, które obrabia przymusowo około 60 000 ludzi traktowanych jak niewolnicy.

Opozycja wewnętrzna została całkowicie stłumiona po próbie zamachu stanu w roku 1969 dokonanej przez przeciwnika Maciasa z wyborów prezydenckich Bonifacia Onde Edu.

Istnieje opozycja na emigracji kierowana przez Eya Nchama, przewodniczącego ANRD /przymierze narodowe na rzecz przywrócenia demokracji/. Ten młody człowiek, nauczyciel, który uciekł z kraju w roku 1970 powiedział podczas swego pobytu w Europie, że prawdziwą tragedią tego kraju jest zмова milczenia, otaczająca go zarówno w ONZ jak w Organizacji Jedności Afrykańskiej.

"Zmowa milczenia - stwierdził - rozpoczyna się od Francji, która posiada ambasadę w stolicy Gwinei Malabo; przyjaźni się z krajami, w których znajdują się uchodźcy z Gwinei, Kamerunem i Gabonem, Francji, która dokładnie wie co się dzieje, a jednak nie mówi nic, zapewne dla ochrony własnych interesów..."

Eya Nchama nie jest również czuły wobec Hiszpanii: "Wraz z niepodległością przeszliśmy spod dyktatury Franco pod dyktaturę Nguemy. Odziedziczyliśmy dyktaturę po metropolii". Według E. Nchama trzeba przede wszystkim przerwać mur milczenia otaczający Gwineę Równikową. Milczeć, to współpracować z jednym z najstraszniejszych dyktatorów afrykańskich.

Newsweek, 9.X.1978 r.

AFRYKAŃSKI KORPUS FIDELA CASTRO /z niewielkimi skrótami/.

Fidel Castro jest wyraźnie zdecydowany ujrzeć rozkwit swego socjalizmu na kontynencie afrykańskim. Nawiązał bliskie stosunki z różnorodnymi lewicowymi afrykańskimi rządami i ruchami. Może najbardziej dramatyczny przykład to wysłanie w 1975 roku korpusu ekspedycyjnego, złożonego z 1200 ludzi do pomocy marksistom w wojnie domowej w Angoli. Od tego czasu Castro kontynuuje dostawy broni i wojska do licznych państw afrykańskich. Po ostatniej podróży na Kubę p. Miguel Acoca z "Newsweek" doszedł do wniosku, że większość Kubańczyków jest dumna z aktywnej roli swego kraju w Afryce, mimo ofiar, które to za sobą pociąga. Oto raport p. Acoci:

Żołnierze kubańscy, wracający z afrykańskich kampanii, są witani w domu z wojskową pompą i podarunkami w postaci kolorowych telewizorów. Otrzymują dobre posady, wymarzone mieszkania, nawet bezpłatne samochody. W społeczeństwie, w którym luksusu jest bardzo mało a niedostatek dużo, korzyści ze służby w Afryce są oczywiste. "Weterani są rozpieszczeni i honorowani" - powiedział pewien dyplomata. To samo dotyczy ich rodzin. Castro nie ma żadnego kłopotu ze znalezieniem żołnierzy.

Widocznie nie. Gdy ochotnicy byli potrzebni dla walki w Angoli, długie kolejki formowały się na zewnątrz biur rekrutacyjnych. To cieszące się popularnością poparcie dla afrykańskiej interwencji Kuby wynika częściowo z dumy narodowej. Ale ma także chyba autentyczny ideologiczny posmak. "To jest cios przeciwko imperializmowi" - oświadczył kelner w hawańskim hotelu. "To jest wszystko o co chodzi w rewolucji".

Stosunek kelnera odzwierciedla własne głębokie poglądy Castry. Castro od dawna jest przekonany, że rewolucja jest towarem eksportowym - stanem umysłu w poszukiwaniu wiernych. Afryka dowiodła, że jest żyznym gruntem i w ciągu ostatniej dekady Castro nawiązał stosunki z lewicowymi grupami we wszystkich częściach tego kontynentu. Studenci z wielu af-

rykańskich państw studiują na Kubie, podczas gdy Castro wysyła ludzi i broń do różnych marksistowskich rządów i partyzanckich organizacji. Jak obliczono 19.000 kubańskich żołnierzy jest w Etiopii i 20.000 wojska oraz 5.000 cywilnych doradców zostało użytych w Angoli w ciągu ostatnich trzech lat.

Niekomunistyczne państwa potępiały tę akcję jako prowokacyjną, a pewni marksiści nawet twierdzą, że Castro powtarza błędy popełnione przez Stany Zjednoczone w Wietnamie. Ale większość kubańczyków, z którymi mówię, myśli inaczej. "My jesteśmy dumni z tego, że byliśmy w Angoli" - stwierdził pewien weteran. "Jeżeli zostaniemy znowu wezwani do służby, będziemy służyć". Dużo Kubańczyków może mieć szansę służenia w Afryce, Castro deklaruje, że kubańskie wojska pozostaną tam dopóki lewicowe rządy-gospodarze nie poproszą o opuszczenie ich krajów.

Kubańczycy powiadają, że ich stosunek do Afryki przewyższa zwyczajną politykę siły. Rzeczywiście źródła rządowe utrzymują, że afrykańscy rewolucjoniści i ich kubańskie odpowiedniki są związani ze sobą zarówno kulturą, jak i komunistyczną ideologią. "Afryka nie jest dla nas czymś nowym" - powiedział mi pewien urzędnik. "Mamy afrykańskie korzenie. Wielu naszych ludzi jest afrykańskiego pochodzenia. Obecnie stale kładzie się nacisk w Hawanie na afro-kubańskie związki. Nawet Castro zbadał przeszłość swojej rodziny i odkrył świadectwo afrykańskiego dziedzictwa - kawałek wątpliwej autobiografii, który jednak często porusza w rozmowach z wizytującymi Afrykanami.

Wiecej niż 5.000 afrykańskich studentów studiuje obecnie na wyspie wliczając w to 1.200 dzieci "etiopskich męczenników" - żołnierzy zabitych w wojnie przeciwko Somali. Namibijczycy, czarni rodezyjczycy i Angolanie są między tymi, którzy utrzymują podstawową kubańską wiarę o partyzanckiej taktyce. Afrykańczycy nie opowiadają o tym szkoleniu, broniach które używają, lub jak wielu z nich jest na Kubie. Zapytany o zaangażowanie Kuby na Saharze, pewien czarny żołnierz powiedział mi lakonicznie: "Kubańczycy popierają nas, to wszystko."

Zdarza się jednak, że Kuba ma problemy ze swymi afrykańskimi klientami. W tej chwili na przykład Etiopczycy są zniecierpliwieni. Etiopski marksistowski rząd chce więcej bezpośredniej pomocy dla zwalczania secesjonistów w Erytrei, lecz Castro przejawia ostrożność. Niektóre arabskie państwa przyjazne Kubie - włączając Algierię, najstarszego sojusznika Castry w trzecim świecie - nie chcą zmiężdżenia muzulmańskich Erytrejczyków. Erytrejski konflikt był prawie napewno dyskutowany /podczas ostatniej wizyty Castry/ z podpułkownikiem Mengistu Haile Mariam, etiopskim szefem państwa. "Sytuacja jest bardzo trudna dla nas" - powiedział pewien kubański urzędnik.

Od czasu do czasu sami Kubańczycy wyrażają pewne sprzeciwy. Antywojenni studenci przeciwstawiają się poczynaniom w Afryce, a niektórzy pracownicy o stałych zarobkach kwestionują rządowe priorytety. "Kuba potrzebuje tak wiele" - powiedział jeden z nich. "Co my robimy w Afryce?" Istnieją nawet pogłoski, że związanie się Castry z Angolą, tak gruntownie uszczupliło kubańskie lotnictwo, że musiano wezwać rosyjskich pilotów do pilnowania frontu krajowego. Jeżeli liczba ofiar kubańskich w Afryce dramatycznie wzrośnie, krzyk oburzenia ludu okaże się kłopotliwy. Liczba wypadków śmiertelnych od 1976 roku wynosi 1100 - mało według większości standartów, ale przecież jest to liczba istotna dla rodzin, których mężczyźni nie wrócili ze swej afrykańskiej kampanii.

Ci, którzy nie zgadzają się z polityką afrykańską Castry płacą czasami wysoką cenę. Mają trudności z pracą i często odmawia się im mieszkania. W skrajnych przypadkach dysydenci posyłani są do roboczych farm dla "reedukacji". Ale obecnie wątpiący są w wyraźnej mniejszości. Castro wydaje się nie do obalenia, a afrykańscy lewicowcy pragną jego pomocy. Daniel Mazimamoto minister spraw zagranicznych rodezyjskiego ruchu wyzwolenczego mówi, że partyzanci rodezyjscy przyjmą "wszelką broń i pomoc". Mazimamoto twierdzi, że powstańcy rodezyjscy nie zaciągają długu u

Castro i że ruch rewolucyjny nie zostanie skubanizowany. Castro po prostu dostarcza to, czego nie dostarczają inne państwa szczególnie Stany Zjednoczone. "Prosiłiśmy Stany Zjednoczone o broń" skarżył się minister. Powiedzieli "nie". Kubańczycy powiedzieli "tak" bez żadnych warunków". I nie ma powodu do przypuszczeń, że Castro zacznie mówić "nie" lewicowym rządowi afrykańskiemu szukającemu jego poparcia.

Der Spiegel, 25.IX.1978 r.

ANGOLA, RADOŚĆ I ZADOWOLENIE.

Lewicowy rząd w Luandzie, dotąd ściśle związany z Kubą i Sowietami, próbuje nawiązać kontakt z Zachodem.

"Nasze dążenia do niepodległości przyniosły nam już wiele nieporozumień i wrogości" - tak skarżył się angolański minister spraw zagranicznych Paulo Jorge. To, że opowiedzieliśmy się za socjalizmem wcale nie oznacza, że musimy utrzymywać stosunki wyłącznie z blokiem socjalistycznym".

Skarga ta wydawała się przez dłuższy czas niewiarygodna. Dla większości krajów zachodnich portugalska exkolonia Angola, rządzona do blisko 3 lat przez ruch MPLA, który zdobył władzę z kubańską i sowiecką pomocą, była przede wszystkim przyczółkiem komunizmu w Afryce. Ostatnio wygląda na to, że sztywne pozycje nabrały elastyczności. Rząd w Luandzie daje coraz wyraźniej do zrozumienia, że życzyłby sobie zbliżenia z krajami socjalistycznymi. Osiągnął już nawet pewne rezultaty.

"Nie wolno nam izolować Angoli" - oświadczył belgijski minister spraw zagranicznych Henri Simonet i złożył z początkiem września br. wielodniową oficjalną wizytę w Angoli. Po powrocie przedłożył sprawozdanie podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych EWG w Bonn w ubiegłym tygodniu. Wynikało z raportu, że prezydent Angoli Agostinho Neto dąży do akredytowania swego ambasadora przy EWG i chętnie powitałby zachodnie inwestycje w swoim kraju.

Do współpracy ekonomicznej Luandy z dawnymi europejskimi państwami kolonialnymi może dojść chyba przede wszystkim dlatego, że USA zrewidowały swą dotychczasową postawę wobec Neto. Niegdyś Waszyngton przekazał 32 mln dolarów w broni i gotówce wrogim Neto ugrupowaniom wyzwolńczym FNLA i Unita. Wystarczyło to do wzniecenia wojny domowej, ale okazało się zbyt mało do odniesienia zwycięstwa.

Na próżno delegacja MPLA udała się w październiku 1975 r. do Waszyngtonu, aby zapewnić rząd USA, że ruch ten nie ma charakteru antyamerykańskiego. Na próżno też MPLA uroczyście przyrzekał nietykalność pracujących w Angoli przedsiębiorstw, takich jak np. Cabinda Gulf Oil. Na skutek nacisku Waszyngtonu firma Gulf Oil wstrzymała po objęciu władzy przez Neto produkcję. Koncern samolotowy Boeinga musiał wstrzymać realizację opłaconego już przez Angolanów zamówienia na dwa samoloty 737-Jet, ponieważ Departament Stanu odmówił wydania licencji wywozowej.

Kiedy wkrótce potem przybyła do Ameryki delegacja państwowa towarzystwa lotniczego Angoli Taag, szef Boeinga - Wilson przekazał Angolanom, z inspiracji Departamentu Stanu, "pewne rządowe, ale bardzo poufne oświadczenie na temat stosunku naszego kraju wobec Angoli". Píše o tym były szef operacji CIA w Anglii - John Stockwell w swej książce o działalności tajnej służby USA w Angoli. /J. Stockwell, In Search of Enemies, New York, W.W. Norton and Company, ss286/.

Treść tego oświadczenia: Rząd MPLA powinien szukać politycznego kompromisu z pokonanymi organizacjami wyzwolńczymi. Ponadto: "MPLA zrobiłaby dobrze, gdyby wzięła sobie do serca naszą wskazówkę, że żaden rząd w powojennej Angoli nie może planować odbudowy bez pomocy USA i Zachodu".

Zamiast tego MPLA poszukała i znalazła pomoc u socjalistycznych

przyjaciół. Mimo jednak masowego zaangażowania przede wszystkim kubańskich techników, ekspertów od rolnictwa, nauczycieli i lekarzy, gospodarka angolańska, zrujnowana przez wojnę domową i exodus fachowców portugalskich, nie podniosła się z upadku. Prawie wszystkie artykuły żywnościowe pierwszej potrzeby pochodzą z importu. Produkcja kawy i maki kukurydzianej spadła do 1/3 poziomu z przed uzyskania niepodległości.

Sytuację pogarszały jeszcze ciągle napady ruchów partyzanckich FNLA i Unita, wspomaganych przez Zair, RPA i Zachód.

Odprężenie przyszło dopiero po wydarzeniach z tegorocznej wiosny, kiedy to tzw. żandarmi katangijscy wtargnęli z terytorium Angoli do miedzionośnej prowincji Szaba w Zairze. Wówczas stało się dla Amerykanów zapewne jasne, jak niebezpiecznym mogłoby się stać położenie w całej Afryce centralnej, gdyby rozgorzał tu konflikt międzynarodowy. Wtedy to spieszący na pomoc rządowi Mobutu spadochroniarze francuscy stanęli nagle naprzeciw socjalistycznym pomocnikom Neto.

W czerwcu br. spotkali się po raz pierwszy w siedzibie ONZ ministrowie spraw zagranicznych Angoli i USA. Nieco później minister Vance wysłał zastępcę ambasadora USA przy ONZ - Donalda Mc Henry'ego do Luandy "aby polepszyć warunki dialogu". Jednocześnie Angola i dawna metropolia kolonialna Portugalia zawarły, po spotkaniu szefów obu państw w Gwinei Bissau, układ o współpracy, który m.in. umożliwia powrót uciekinierom angolańskim.

Pierwsze owoce nowej polityki objawiły się dla Zachodu przed dwoma miesiącami podczas konferencji OJA w Chartumie. Pod naciskiem m.in. państwa frontowego Angoli, ruch wyzwolenczy Swapo z Namibii okazał większą skłonność do dyskusji nad projektami zachodnimi.

W tym samym miesiącu podróż do Luandy na zaproszenie Neto odbył francuski komisarz EWG Claude Cheysson. Tymczasem w Brazzaville prowadzili rokowania przedstawiciele MPLA i rządu zairskiego na temat ponownego otwarcia angolańskiej linii kolejowej Benguela, niegdyś najważniejszej drogi transportu zairskiej miedzi do portu Lobito, nieczynnej od czasów wojny domowej.

Niewiele później prezydent Zairu Mobutu powitał "z radością i zadowoleniem w kraju naszych przodków" swego niedawnego śmiertelnego wroga Neto. Oba rządy przyrzekły stałą współpracę i zaniechanie pomocy dla ruchów partyzanckich w kraju sąsiada. Z innym wrogo nastawionym sąsiadem - RPA - rząd Neto wynegocjował przed kilkoma tygodniami wymianę jeńców z czasów wojny domowej.

Ale właśnie Niemcy - tego dowiedział się belgijski szef dyplomacji podczas swego rekonesansu - zakłócają pokój. Prywatną bazę rakietową zachodnoniemieckiej firmy Otrag w prowincji Szaba oceniają Angolanie - wedle słów Neto - jako "środek agresji Republiki Federalnej przeciwko ludom Afryki".

Der Spiegel, 11.IX.1978 r.

POLITYKA NIE PRZECIWKO ZWIĄZKOWI RADZIECKIEMU.
Finlandyzacja - co to jest?

To, co drastycznie określił fiński pisarz Jörn Donner "przesadnym serwilizmem wobec Moskwy", świat nazywa "finlandyzacją": wysiłki urzędującego od 1956 r. fińskiego prezydenta Urho Kekkonena /lat 78/, by być grzecznym wobec superpotężnego sąsiada, mimo neutralistycznie nastawionej polityki zagranicznej Finlandii.

Po dwukrotnej porażce wojennej Finlandii / 1939/40 i 1941/44 / ówczesny premier Juho Kusti Paasikivi eydziagnął konsekwencje, które do dziś dzień nie straciły aktualności: "zasadnicze znaczenie dla pomyślnego rozwoju naszego narodu ma fakt, aby w przyszłości polityka zagraniczna nie była skierowana przeciwko Związkowi Radzieckiemu".

Podyktowany przez Stalina w 1948 roku "Pakt o przyjaźni, współpracy

i wzajemnej pomocy "zobowiązuje Finlandię do obrony swego terytorium przeciwko każdej napaści Niemiec lub ich sojusznika", a więc praktycznie również do obrony przeciw NATO, a jeśli to konieczne "współ ze Związkiem Radzieckim lub we współpracy z nim". Nadto dokument ów wymaga, w razie zewnętrznego zagrożenia, konsultacji z Moskwą.

Sowieci uznali za szczególnie groźny wewnątrzpolityczny rozwój Finlandii. Kreml wymusił w 1958 roku upadek niemiłego mu socjaldemokratycznego szefa rządu Fagerholma. W 1961 roku zmuszono do rezygnacji z kandydowania w wyborach prezydenckich konserwatywnego rywala Kekkonena - Honkę, aby zapobiec możliwej porażce posiadacza orderu Lenina. Kekkonowi wolno dziś jeszcze, jako jednemu niekomunistycznemu szefowi państwa stać podczas szczególnie doniosłych świąt państwowych na trybunie Placu Czerwonego.

Podstawowa zasada polityki zagranicznej Kekkonena - unikać wszystkiego, co mogłoby być uważane przez Sowieców za nieprzyjazne - oddziałuje także na wolność prasy, gwarantowaną w Finlandii konstytucyjnie.

Kekkonen zwracał się za pośrednictwem radia i telewizji przeciwko tym czasopismom, które drukują krytyczne wobec ZSRR listy czytelników, nakazał nawet zganić gazetę, która przypominała o aneksji państw bałtyckich.

Również fińska prasa niekomunistyczna uprawia autocenzurę i zamieszcza często radzieckie reportaże o wzroście gospodarczym i dobrobycie, których wiarygodności nie można sprawdzić.

Niemal oficjalnie zabronione są wzmianki o nieżyjącym już marszałku Mannerheimie, dzięki któremu po wojnie 1939/1940 Finlandia nie stała się, podobnie jak kraje bałtyckie, republiką radziecką. Przeszkadzono także w wydaniu "Archipelagu Gułag" Solżenicyna.

Od 1963 roku Kekkonen nakłania, często i nadaremnie, inne państwa skandynawskie do opowiedzenia się za wprowadzeniem strefy bezatomowej, ale z wyłączeniem arsenału tej broni na sowieckim półwyspie Kola.

Finlandia opublikowała już przed laty własną interpretację klauzuli paktu o pomocy wzajemnej z ZSRR, nie uzyskawszy tego samego od Moskwy. Kiedy potem Moskwa ogłosiła nagle własną interpretację owego paktu, niekorzystną dla Helsinek, Finowie pogodzili się bez sprzeciwu.

Uczynne są także fińskie służby graniczne: sowieccy uciekinierzy, którzy liczą na azyl w Finlandii, są wydawani stronie radzieckiej.

Szczególnie bliska jest współpraca ekonomiczna z ZSRR i pozostałymi krajami członkowskimi RWPG. Punktem wyjścia była umowa gospodarcza z 1947 roku, przyznająca ZSRR klauzulę największego uprzywilejowania. Później nastąpił układ celny z ZSRR i dopiero wówczas Finlandia mogła stowarzyszyć się z EFTA.

W 1967 roku powołano mieszaną komisję współpracy gospodarczej. Cztery lata później współpraca z ZSRR została zacieśniona kolejno przez podpisanie "Umowy o nauce, technice i gospodarce" i układ gospodarczy z krajami RWPG /1973 r./. Wszystko to nastąpiło, zanim wszedł w życie układ o wolnym handlu Finlandii z krajami EWG. Wreszcie w 1977 roku został podpisany nowy układ perspektywiczny na 15 lat, dla pogłębienia współpracy ze Związkiem Radzieckim.

Już przed laty Kreml zniewolił Finlandię do zakupu sowieckich lokomotyw i dwóch reaktorów dla siłowni atomowej Loviisa. Nic lepszego, jako przeciwwagi dla fińskich dóbr eksportowych, z których ok. 20% trafia do ZSRR, Sowieci nie mogli zaoferować. Cena za jedną lokomotywę elektryczną wynosi 3.5 miliona marek fińskich, 50% części Sowieci musieli zakupić na Zachodzie; urządzenia sterujące np. pochodziły z USA, system hamulcowy - z RFN.

Newsweek, 14.VIII.1978 r.

NOWY ROSYJSKI PLAN WOJENNY.

Radzieccy planiści wojskowi wyposażają swoje dywizje w Europie Środkowej w dwie nowe rakiety operacyjne SS-21 i SS-22, które mogą przenosić różne nuklearne i nie-nuklearne głowice. Z kolei nie-nuklearne głowice są trzech rodzajów, włączając w to model o dużej sile wybuchu, przeznaczony do robienia głębokich wyrw w pasach startowych lotnisk. Te rakiety z wymiennymi głowicami - tajemnica do czasu gdy wywiad amerykański dowiedziały się o nich ostatnio - są oznaką nowego rosyjskiego podejścia do ewentualnej wojny w Europie. W przeszłości Rosjanie wyraźnie zakładali, że taka wojna stałaby się nuklearna od samego początku i ich przygotowania kładły nacisk na broń nuklearną. Ale obecnie analitycy Pentagonu uważają, że Rosjanie przygotowują się do innego rodzaju wojny - takiej, o której sądzą, że ich przeważające siły Paktu Warszawskiego mogłyby wygrać bez uciekania się do użycia broni nuklearnych i w ten sposób bez usprawiedliwienia nuklearnego odwetu ze strony krajów NATO.

Der Spiegel, 25.IX.1978 r.

"CI SIEDZĄ DZIESIĘĆ LAT PRZED DRZWIAMI". Sowieci próbują postawić stopę w południowo-wschodniej Azji i osaczyć w ten sposób Chiny.

Sowieckie statki wyładownicze są w Singapurze, Malezji i Indonezji, sowieccy dyplomaci oferują pomoc ekonomiczną, w Laosie urzęduje więcej Sowieców aniżeli Amerykanów w czasach wojny wietnamskiej. W oczach Pekinu Wietnam jest moskiewską "Kubą w Azji". Sowieci próbują wszelkimi sposobami osaczyć Chiny.

W nowo-uruchomionej fabryce na jednym z odległych nabrzeży portu Jurong w Singapurze przepakowuje się mrożoną rybę z kartonów zaopatrzonych w sowieckie napisy do skrzynek z etykietą "Made in Singapore". Ta, tyleż osobliwa, co politycznie nie bez znaczenia czynność oznacza jeden z najnowszych sukcesów sowieckich usiłowań wkroczenia do niekomunistycznej Azji południowo-wschodniej, by w tej strategicznie ważnej części świata zbudować przyczółek na tyłach swego śmiertelnego wroga - Chin.

Sowieci podpisując z jedną z singapurskich firm porozumienie o "przechowaniu i przerobie ryb" /wartość: 5 mln. dolarów/ mogą odtąd eksportować na cały świat 12 tys. ton swych połowów rocznie jako rybę singapurską. Ale znacznie ważniejszym jest fakt, że ponad 3 tys. sowieckich statków rybackich operujących na Oceanie Indyjskim i zachodnim Pacyfiku uzyskało nieograniczony dostęp do portów Singapuru.

Jak powiedział jeden z europejskich dyplomatów działających w Singapurze: "Rosjanie zrozumieli, podobnie jak Brytyjczycy przed 150 laty, że niezbędne do kontroli tego regionu jest punkt oparcia dla floty. Nie mogli tu wprowadzić okrętów wojennych, narazie więc przysłali swoje trawlerzy".

Już od dziesiątków lat sowiecka flota Pacyfiku, stacjonująca po większej części we Władywostoku, życzyła sobie portu leżącego na drodze do Afryki i Europy. Po zwycięstwie komunistów w Indochinach w 1975 roku sytuacja poprawiła się tylko nieznacznie. W międzyczasie Pekin oskarżył Wietnam o odgrywanie roli moskiewskiej "Kuby w Azji" i o udostępnienie byłej amerykańskiej bazy morskiej Cam Ranh Bay flocie sowieckiej. Temu zaprzeczyli jednak sami Amerykanie "tak naprawdę to Sowieci potrzebują tam suchego doku, a do tego im jeszcze bardzo daleko" - oświadczył jeden z ekspertów militarnych w Bangkoku.

Od czasu ewakuacji amerykańskich oddziałów z Azji południowo-wschodniej - ostatni żołnierze USA opuścili Tajlandię w lipcu 1976 r. - Sowieci czynią wiele by wypełnić powstałą próżnię. Ożywiają w ten sposób obawy Chin przed sowieckim osaczeniem.

Choć te obawy często mogą wydać się przesadne, to przyznać trzeba, że Moskwa znacznie zwiększyła swą dyplomatyczną, wywiadowczą i ekonomiczną aktywność w Azji południowo-wschodniej i - wedle słów jednego z malezyjskich urzędników - "przejęła dziedzictwo Dullesa w zakresie trzymania Chin w szachu".

Sowieci są najwyraźniej zdecydowani stosować na Pacyfiku starą metodę dyplomacji kanonierek. Wskazują na to następujące fakty:

a/gdy konflikt między Hanoi a Pekinem zaostrzył się, Moskwa wysłała krążownik i dwa niszczyciele w rejon kanału Bashi między Tajwanem i Filipinami.

b/gdy w Tokio zapowiedziano, że podjęto na nowo rokowania w sprawie układu pokojowego z Chinami, Moskwa wysłała dwa krążowniki, dwa niszczyciele i liczne łodzie podwodne w rejon Wysp Kurylskich, a sowiecka piechota morska szturmowała jeden z opuszczonych atolów.

Położenie geograficzne i znaczenie gospodarcze czynią z Singapuru od dawna główny cel dążeń Rosjan. Tam też odnoszą oni sukcesy. Liczba okrętów sowieckich nawiedzających tę wyspą republikę potroiła się w ciągu ostatnich siedmiu lat. Corocznie schodzi na ląd w Singapurze 40 tys. sowieckich marynarzy. Port stał się ważnym punktem naprawczym sowieckich okrętów handlowych z Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Rosjanie wydają 40 mln. dolarów rocznie w warsztatach okrętowych Keppel i Sembawang, które były częściowo niewykorzystywane.

W porcie singapurskim stoją obecnie stale dwa lub trzy rosyjskie trawlerzy wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia elektroniczne. W mieście kursuje na ten temat dowcip: "Wpływają oni do portu z uszkodzoną pompą wodną, wymieniają ją, wypływają z portu, wyrzucają pompę za burtę i wpływają znowu". Nie trapi Singapurczyków fakt, że Sowieci mogliby użyć owych statków rybackich do podsłuchu środków łączności na kontynencie i jako stacji przekazywanych dla łodzi podwodnych. "Mamy niewiele do ukrycia - stwierdził jeden z urzędników rządowych. Kto u nas próbuje szpiegostwa, szpieguje jakby w złotym akwarium".

Aczkolwiek Singapur jest niewzruszenie antykomunistycznym krajem, traktuje się tam obecność sowiecką jako zło konieczne. "Obecność wielkich mocarstw jest faktem, z którymi musimy się pogodzić - wyjaśnił minister spraw zagranicznych Rajaratnam. Ponieważ nie możemy ich wypędzić z tego regionu, to lepiej jest wpuścić ich tu wszystkich razem". W kraju, w którym - wedle ministra obrony Goh'y - wystarczy brzęknąć dwiema monetami, by zyskać przychylność każdego obywatela, widoki na wspaniały interes czynią w okresie recesji z moskiewskich ofert propozycje niemal nie do odrzucenia.

Oskarżenie Pekinu, że Singapur stał się "centralą regionalną KGB" nie brzmi tak przesadnie, jeśli się zważy, iż w tym karłowatym państwie działa niezwykle wielu sowieckich dyplomatów /100 urzędników/ i akredytowanych jest nienormalnie wielu sowieckich dziennikarzy /6/. Pilnie pracują też sowieckie przedsiębiorstwa takie jak: Aerofłot i Moskiewski Narodnyj Bank. W ciągu tylko 7 lat rozwinął się przykładowo biorąc Narodnyj Bank do roli największej instytucji kredytowej Singapuru. Daje on pożyczki bez szczególnie wygórowanych rządów gwarancyjnych i rozbudowuje w ten sposób system powiązań rozciągający się od Indonezji aż po Hongkong i Tajwan. "Oni handlują bardziej wpływami niż pieniędzmi" - powiedział o rosyjskiej konkurencji pewien europejski bankier.

Fakt iż komunistyczne ruchy partyzanckie od Indonezji aż po Tajlandię orientują się de facto na Pekin, ułatwia Sowiecom odgrywanie roli gwaranta państwowej niezawisłości w obliczu "agresywnych, ekspansyjnych dążeń Chińczyków". Jednak zbyt dużych osiągnięć w tym zakresie Sowieci jeszcze nie odnotowali.

Od ponad 10 lat próbują oni sprzedać państwom Azji południowo-wschodniej kolektywny system bezpieczeństwa - jak dotąd bez efektu. Specjalnie próbowali też wyjaśnić rządowi Malezji, że ten kraj a nie Tajlandia będzie najwcześniej straconym pionkiem w sterowanej przez Pekin rebelii

na skalę całego kontynentu. Ale jakoś do tego nie mogli przekonać Kuala Lumpur i stąd też nie uzyskali tam zezwolenia na budowę elektrowni wodnej koło Tembeling w prowincji Pahang. Malajczycy zatrwożyli się na samą myśl o wpuszczeniu do kraju setek sowieckich techników.

Moskali nie mogli jak dotąd zdyskontować tradycyjnych obaw Indonezji wobec Chińczyków, nie udało im się ponownie zaoferować Dżakarcie wielkiego programu pomocy ekonomicznej. Rosjanie proponowali nawet Filipinom, gdzie dopiero przed rokiem został akredytowany pierwszy sowiecki ambasador, budowę reaktora atomowego. Prezydent Marcos ofertę tę odrzucił.

W Tajlandii, gdzie Sowietci od czasu puczu militarnego w październiku 1977 r. znowu stracili te niewielkie wpływy, którymi cieszyli się u studentów i w organizacjach związkowych podczas krótkiego okresu demokracji, próbują teraz ożywić ideę zawarcia umowy kulturalnej, którą Tajowie już wielokrotnie odrzucali. "Sowieci mają jedną właściwość: są u parci - powiedział pewien tajlandzki urzędnik rządowy. Przychodzą - zamyka się im drzwi przed nosem. 10 lat później, gdy uchyla się te drzwi - oni ciągle jeszcze tam są".

Uprzedzenia religijne i zaciekle antykomunizm wielce utrudniają Sowietom próby infiltracji, przede wszystkim w Malezji i Tajlandii. "Zapraszają gości na wielkie przyjęcie - stwierdził pewien dziennikarz w Kuala Lumpur - ale pożowa miejsc pozostaje wolna. Jedzenie na stołach stygnie". W Bangkoku Rosjanie mają wiele kłopotów ze znalezieniem pracowników wśród Tajów. Dlatego też importuje się ze Związku Radzieckiego kierowców, sekretarki i ogrodników.

Tak jak niegdyś Amerykanie, tak teraz i Sowietci muszą zrozumieć, że trudno jest obcemu w tej części świata. Korpulentni, jasnowłosi, aroganccy, a do tego najczęściej niezdolni do opanowania miejscowego języka, nie są w stanie odpowiednio się maskować. Ponadto w żaden sposób - całkiem inaczej niż Amerykanie - nie symbolizują dobrobytu, do którego tęsknią Azjaci.

"Opowiadają ustawicznie o potędze socjalizmu i bogactwie Związku Radzieckiego, ale gdy tu przychodzą - zauważa hinduski kupiec z laotańskiej stolicy Vientiane - wykupują pozostawione przez Amerykanów stare kamery i radia tranzystorowe oraz tanią konfekcję nylonową". W Vientiane Rosjanie działają aktywnie na tamtejszym dolarowym czarnym rynku; dwaj obywatele sowieccy zostali przyłapani na gorącym uczynku i wydaleniu z kraju.

Śmiesznie wyglądały próby wejścia Rosjan na rynek samochodowy Singapuru. Pierwszych 100 Wołg było wyposażone w tapicerkę niejednolitego koloru, mechanizmy były oznakowane cyrylicą a części zamiennych chronicznie brakowało. Pierwsze 150 sowieckich traktorów, które Laos zakupił z szwedzkiego funduszu pomocy ekonomicznej odmówiło posłuszeństwa w ciągu tygodnia, ponieważ nie były dostosowane do pracy na polach ryżowych: woda dostawała się do łożysk, następowała blokada kół.

Wszelkie metody działania Sowietów w Azji południowo-wschodniej są determinowane przez kwestię chińską. Wielu stacjonujących tam dyplomatów sowieckich mówi po chińsku, sowiecki ambasador w Bangkoku zalicza się m. do najlepszych moskiewskich ekspertów do spraw Chin. Dla zdobycia informacji o Chinach sowieccy dyplomaci, ludzie interreau i dziennikarze próbują nawiązać kontakty z jeżdżącymi do Chin a także z przedstawicielami tajwańskiego lobby we wszystkich krajach.

W swych kampaniach propagandowych przeciwko Pekinowi, ostatnio także przeciwko Kambodży, Sowietci posługują się przede wszystkim ich ulubioną taktyką dezinformacji. Przed dwoma tygodniami np. sowiecki attaché wojskowy w Bangkoku wywołał duże zamieszanie wśród dyplomatów kolportując pogłoski o zamordowaniu czerwonego premiera khmerskiego - Pol Pota.

Radzieccy dyplomaci wykorzystują w tym regionie zaangażowanie Pekinu dla chińskiej mniejszości w Wietnamie, by ożywić teorię o Chińczykach zagranicznych - w całej południowo-wschodniej Azji jest ich ponad 16 ml - odgrywających rolę zdalnie sterowanej przez Pekin piątej kolumny.

Na tym terenie Sowieci oddają się szczególnie intensywnie szpiegowaniu przemysłowemu. "Wszystko co tylko można dostać w Singapurze - stwiera jeden z zachodnich dyplomatów - nabywają i dostarczają do Moskwy". Niedawno sowieckie zainteresowania w Singapurze wzbudziła nowoczesna technologia wiercen naftowych. Pewien Rosjanin mówiący biegle po angielsku z teksaskim akcentem, został członkiem ekskluzywnego "klubu ropy naftowej". Jest on lubiany wśród amerykańskich naftowców w Singapurze, ale tamtejsze władze bezpieczeństwa bacznie go obserwują.

"Rosjanie są jak pochłaniacze kurzu - stwierdził pewien zachodni obserwator sowieckich obyczajów w tym regionie - chłoną wszystkie możliwe informacje i przekazują do komputerów w Moskwie".

Moskwa natrafiła w południowo-wschodniej Azji na duże trudności, mimo to udało się jej zakotwiczyć w Wietnamie i Laosie tak silnie, że riposta Chińczyków okazała się nieskuteczna. Rosyjscy oficerowie lotnictwa kształcą - najwyraźniej niezbyt dobrze - pilotów Patet Lae na jedenastu Migach 21, które Vientiane otrzymała z ZSRR. W międzyczasie cztery maszyny zdażyły się rozbić, a dwaj sowieccy instruktorzy zginęli.

Rosyjscy inżynierowie pomagają przy budowie nowego lotniska na strategicznie ważnym obszarze Glinianych Dżbanów, rosyjscy doradcy zasiadają we wszystkich laotańskich ministerstwach i władzach centralnych, zresztą wspólnie z wietnamskimi kolegami. "W Laosie - zdaniem pewnego zachodniego dyplomaty w Vientiane - jest obecnie więcej Sowietów niż Amerykanów w kulminacyjnym momencie wojny wietnamskiej".

Ogólnie szacuje się ich liczbę na około 2 tysiące.

Od czasu, gdy Sowieci przejęli urządzenia Air America i Continental Air w pobliżu lotniska Watthai, zachodzą wszędzie, gdzie przedtem widywano Amerykanów. Znaleźć ich można nawet na basenie hotelu Lang Xang, także niedźwiadek Kinkaju, stojący od 15 lat przy bramie wejściowej hotelu wita nowych gości z rewerencją. Amerykanie nazywali go Smoky, Rosjanie ochrztili go Misza.

Sowiecki sztab w Vientiane szacuje się na ok. 4 tysiące cywilów i wojskowych. Od czasu gdy stosunki między Wietnamem i Chinami pogorszyły się, wpływy ich nieustannie rosną. Mieszkają w hotelach największych miast wietnamskich, często w dawnych, urządzonych luksusowo przez Amerykanów, domach rozrywki. Spiewają tam przy wietnamskiej wódce tęskne pieśni o ojczyźnie. Nie udało się im nawiązać żadnego kontaktu z ludnością, poza gromadkami dzieci, które nieustannie oblegają Rosjan, jak niegdyś Amerykanów.

Kiedy rankiem udają się wspólnie do pracy, np. do odbudowy urządzeń byłej amerykańskiej bazy morskiej Qui Noh, noszą zielone dreluchy i kapelusze tropikalne miejscowych żołnierzy. Wyglądają w tym jak przebierańcy.

Dopóki prosperował jeszcze sajgoński czarny rynek - a więc do uderzenia Hanoi przeciwko klanom chińskich handlarzy ubiegłej wiosny - byli tam "Lien-Xo" jak nazywają Rosjan Wietnamczycy - ulubionymi klientami. Łatwo można było ich okpić: za lekko pożółkłe towary zachodnie pochodzące ze splądrowanych magazynów amerykańskich chętnie wyzbywali się po fantastycznie niskich cenach błon filmowych, zegarków i baterii.

Wycieczka do miasta Ho Chi Minha - jak obecnie nazywa się Sajgon - jest dla Rosjan w Wietnamie ciągle jeszcze równie atrakcyjna, jak swego czasu weekend w mieście grzechu Bangkoku dla znużonych widokiem dżungli żołnierzy USA.

Wietnam jednoznacznie związał się od dawna sojuszem z Sowietami a ostatnim krokiem na tej drodze był akces do RWPG. Wietnam postawił na sowiecką kartę, w efekcie tradycyjnej nieufności wobec swego północnego sąsiada i dlatego, że jego wyniszczona gospodarka potrzebuje znacznej pomocy, której gdzie indziej nie mógłby otrzymać. Uporczywa wojna z Kambodżą i pogróżki jej sojusznika - Chin, czynią przymusowo z Hanoi "sowieckiego satelitę o specjalnym statusie" - jak to określił "Far Eastern Economic

Review". Chińczycy oskarżają Wietnamczyków o odgrywanie roli "Oddziału pomocniczego sowieckiego imperializmu".

W międzyczasie Chińczycy wstrzymali wszelką pomoc gospodarczą dla Wietnamu o wartości - wedle ich szacunku - ponad 10 miliardów dolarów. RWPG obiecała pomoc przy wykończeniu 10 spośród 80 projektów inwestycyjnych realizowanych przez Chińczyków. Obserwatorzy polityczni spekulują, że Chińczycy dążą - poprzez politykę zrywania stosunków z Wietnamem i wpędzania ich w ręce Sowietów - do stworzenia atmosfery nienawiści antysowieckiej także w Wietnamie. Być może Chińczycy, zgodnie z klasyczną, azjatycką manierą, czekają po prostu na "brzegach Mekongu, dopóki ciało ich śmiertelnego wroga nie spłynie z prądem rzeki".

Rządy tego regionu stanęły niedawno przed nową zagadką: Hanoi i Moskwa zmieniły radykalnie swój kurs wobec paktu ASEAN. Sojusz ten, grupujący 5 niekomunistycznych krajów /Singapur, Malezja, Tajlandia, Filipiny i Indonezja/ przedstawiany był wcześniej jako narzędzie antykomunizmu, popierane przez Amerykanów. Nagle został zaakceptowany "ale nie całkowicie" - przez to chyba Moskwa i Hanoi chciałyby dać do zrozumienia, że należy dokooptować Wietnam i Laos aby powstała w ten sposób "strefa pokoju, nie-zawisłości i neutralności".

Przy dźwiękach hakaśliwej propagandy wietnamski premier Pham Van Dong odbył w ubiegłym tygodniu podróż dobrej woli poprzez stolice państw paktu ASEAN i zaoferował tam, obok układów o przyjaźni, także "gwarancje antyprzewrotowe".

"To jest trick - odparła "New China News Agency" - Wietnam chciał się wślizgnąć do paktu, by podważyć podstawę neutralności". Chińczycy sądzą zatem, że Wietnamczycy - jako narzędzie Sowietów - chcieliby ożywić w nowej postaci starą antychińską koncepcję "kolektywnego paktu bezpieczeństwa".

Jak dalece Sowietci nie kryją się ze swoją obecnością na wodach Pacyfiku, mogli to zaobserwować australijscy urlopowicze na pokładzie sowieckiego statku pasażerskiego. W drodze z Sydney w rejon południowego Pacyfiku statek zatrzymał się na pełnym morzu i czekał z unieruchomionymi maszynami. Nagle z oceanu wynurzyła się łódź podwodna z sierpem i młotem na wieżyczce. Spuszczono dwie szalupy, nowa załoga przesiadła się na łódź, stara znalazła się na pokładzie statku pasażerskiego. Następnie podróż kontynuowano.

Le Monde, 24.X.1978 r.

REWOLUCJA UMARŁA

List młodego intelektualisty wietnamskiego ogłoszony w Le Monde. List jest niepodpisany, jednak redakcja zna nazwisko autora i ręczy za autentyczność.

Od kilku miesięcy partia i rząd mówią ludowi, że Chiny Ludowe są najniebezpieczniejszym wrogiem Wietnamu. Pekkańska oligarchia jest określana jako reakcyjna banda, zaś Kambodżan nazywa się lokajami Chińczyków. Radio, gazety, głośniki rozsiane po całym mieście nieustannie potępiają postawę Chin. We wszystkich biurach organizuje się szkolenia polityczne, na których informuje się urzędników o postawie Pekinu, który sprzeciwia się budowie w Wietnamie proradzieckiego społeczeństwa komunistycznego. W poszczególnych dzielnicach organizuje się wieczorne spotkania z ludnością. Wojna z Kambodżą, będąca w roku zeszłym jedynie potencjalnym zagrożeniem, została wypowiedziana. W końcu sierpnia dowódca policji w Mieście Hoszimina, Mai Chi Tho podpisał rozkaz o powszechnej mobilizacji wszystkich mężczyzn od 18 do 25 lat. Mobilizacja ta, obejmująca cały Południowy Wietnam dotyczy też dziewcząt w wieku od 18 do 21 lat, które zgłaszają się jako ochotniczki. Słowo "ochotnik" we współczesnym języku wietnamskim nie oznacza. Jest się zmuszanym do podpisania zgody i dokument ten będzie

następnie uważany za dowód, że się jest rzeczywiście ochotnikiem.

Młode pokolenie Wietnamczyków, którzy w momencie wyzwolenia myślało, że uniknie udziału w wojnie, jest obecnie zmuszone do prowadzenia nowej wojny w obronie kraju, który nie jest ich krajem. Ludzie ci zapytują samych siebie, dlaczego mieliby się bić za odrażającą oligarchię, która nie przyznaje im żadnych praw ani żadnych swobód.

Rewolucja umarła. Pozostali tylko ci, którzy na niej żerują. W maju 1975 mówiono ludowi: "Rewolucja jest wielkoduszną, rewolucja wybaczająca, rewolucja przynosi szczęście itp". Dziś słowo rewolucja wyszło z mody, używa się jedynie słów partia i rząd. Partia przede wszystkim - partia przed ludem. Partia rozkazuje, lud pracuje. Członkowie partii korzystają, lud zaciąga pasa. Lud ten miał dość nieszczęść ostatniej wojny i był być może gotów przyjąć coś nowego, co doprowadziłoby do pewnej pomyślności i szczęśliwej przyszłości. Ten lud wpada z jednej wojny z drugą, z jednego nieszczęścia w drugie, może jeszcze groźniejsze, wyniku braku kompetencji i tyranii bandy wiernych, ale niewykształconych spartańczyków.

Jak można godzić się na prowadzenie następnej wojny w interesie ludzi, których się nienawidzi, z prawie zawsze pustym brzuchem i niewiarygodnie wysoką śmiertelnością na polu walki z powodu przedpotopowej pomocy lekarskiej.

Dezerccje, odmowy pełnienia służby wojskowej spowodują wkrótce zaostrezenie się już i tak ścisłej kontroli nad ludnością. Każda dzielnica podzielona jest na "gniazda", w skład których wchodzi od 30 do 50 rodzin. Każdy sektor dzielnicy posiada ludowy komitet rewolucyjny, kompanię uzbrojonej policji i ochotniczej milicji, nie mówiąc już o towarzyszach z bezpieczeństwa. Każde "gniazdo" ma przewodniczącego i jego zastępcę, których obrano spośród ludności aby czuwali nad bezpieczeństwem oraz przydzielonego funkcjonariusza policji. Każda nieobecność w nocy musi być zameldowana u przewodniczącego i przezeń zarejestrowana. Gość, który spędza noc w dzielnicy, musi być zarejestrowany. Każdy, kto opuszcza miasto musi mieć pozwolenie policji dzielnicowej, jeśli zaś kieruje się ku wybrzeżu, pozwolenie komendy miasta. Każdy mieszkaniec musiał dostarczyć życiorys sięgający trzy pokolenia wstecz. Aby otrzymać jakiegokolwiek dokumenty, należy dostarczyć dwa egzemplarze tego życiorysu, poświadczone przez policję.

Gwałtowne zahamowanie w marcu wolnego handlu stało się dodatkowym strasznym ciosem dla ludności. Spis i odkupywanie za bony posiadanych zapasów i tak zwana kontrola administracyjna w domach "burżuazji" lub osób, które chce się do niej zaliczyć, doprowadziła do praktycznie pełnej konfiskaty wietnamskich książek, których władze postanowiły zakazać.

Życie jest ciężkie, panuje drożyzna. Lekarz zarabia 60 piastrow miesięcznie, urzędnik około 40. Na czarnym rynku kilo ryżu kosztuje 8 piastrow, wieprzowina 20 piastrow. Jak żyć? Wyprzedaje się stopniowo wszystko, co się posiada i nawet stare ubrania osiągają wysokie ceny. Kto nie ma pracy jest wysyłany do "nowych stref gospodarczych" co równa się skazaniu na śmierć.

Tegoroczne zbiory ryżu przepadły w wyniku powodzi i plagi pasożytów. Ich rozwojowi sprzyja stosowanie nawozów naturalnych. Każdy pracuje dla siebie i dla swojej rodziny, a nie dla wielkich idei i dla partii. Chłopi hodują tylko tyle, ile potrzebują na własny użytek i delta Mekongu ubożeje.

Oficerowie /armii południowej/ wciąż znajdują się w obozie w Phuoc Long przy drodze nr 14. Wypuszczono jedynie około 40% przede wszystkim specjalistów /farmaceutów, lekarzy, inżynierów/. Oficerowie począwszy od stopnia pułkownika i oficerowie kontrwywiadu zostali przewiezieni na północ.

✱

✱

✱

W numerze z 10 listopada tenże "Le Monde" zamieszcza list attaché prasowego ambasady Wietnamu, w którym poddaje się ostrej krytyce sposób, w jaki "Le Monde" pisze o Wietnamie. Gazeta cytuje wszystkie osiągnięcia

komunistów i pomawia "Le Monde" o udział w jakimś sprzysiężeniu anty-wietnamskim. Przytaczamy krótki komentarz, którym redakcja zaopatrzyła niezwykle rozwlekły list wietnamskiego attaché.

Wiele dotyczących przeszłości faktów, przytoczonych przez p. Tran Thien Cana jest ścisłych. "Le Monde" omawiał je podczas trwania działań wojennych w niezliczonych artykułach o Południowym i Północnym Wietnamie. Za demaskowanie wszystkich aspektów polityki amerykańskiej, za opisywanie cierpień obu części podzielonego narodu, "Le Monde" ściągają na siebie potępienia tych, którzy chętnie dziś mówią o łamaniu praw człowieka w Wietnamie, ale wówczas woleli milczeć o przyczynach wojny i jej odrażających konsekwencjach.

Obecnie z kolei Hanoi i jego komunistyczni przyjaciele oburzają się na "kampanię" prowadzoną przez "Le Monde". Czyżby dlatego, że się potępią politykę Waszyngtonu, należy milczeć na temat przejęcia władzy przez całkowicie totalitarny reżim, "Le Monde" nie prowadzi żadnej kampanii anty-wietnamskiej. Po prostu, podobnie jak inne dzienniki podaje informacje, których p. Tran Thien Can bynajmniej nie poddaje w wątpliwość. A jeżeli ogłosił list "anonimowy", którego autor jest mu doskonale znany to uczynił to tylko dlatego, aby ten dawny działacz antyimperialistyczny, któremu nikt nie musi udzielać lekcji socjalizmu i patriotyzmu nie był, z powodu swych poglądów nagle wysłany do obozu dla "zatwardziałych kontrewolucjonistów", którego nie mogłaby odwiedzić żadna organizacja międzynarodowa.

International Herald Tribune, 10-11.XI.1978

MOSKIEWSKI ZNAWCA AMERYKI NR 1 BACZNIE PRZYGLĄDA SIĘ ZWIĄZKOM AMERYKAŃSKO-CHIŃSKIM.

Jest to wywiad z Georgim Arbatowem, dyrektorem instytutu do spraw Stanów Zjednoczonych i Kanady, uważanym za niezwykle wpływowego polityka przeprowadzony przez Jonathana Powera.

P. Wśród zachodnich specjalistów od spraw obrony wzrasta zgodne mniemanie, że w ciągu ostatnich 15 lat układ sił przesunął się na korzyść ZSR. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że nie mogłoby to nastąpić, gdyby Stany Zjednoczone same sobie nie narzuciły ograniczeń. Co pan na to?

O. Nie zgadzam się z drugą częścią pana stwierdzenia, ale zgadzam się z pierwszą. Rzeczywiście w ciągu ostatnich 15 lat układ sił zmienił się, ale jeżeli robi pan takie porównania, musi pan wziąć pod uwagę okres czasu, jaki pan wybrał. Piętnaście lat temu to był 63 r. Stany Zjednoczone były w trakcie wykonywania skoku w dziedzinie broni strategicznej, programu podjętego przez Mc Namarrę pod pozorem wyrównywania rzekomej różnicy w dziedzinie rakietowej. W tym okresie ilość rakiet wzrosła chyba 10-krotnie. Ten program skończył się w 65 czy 66 r. Nie mieliśmy oczywiście innego wyjścia, jak osiągnąć w przybliżeniu ten sam poziom. Nie mogliśmy zgodzić się na przewagę militarną Stanów Zjednoczonych. Chcieliśmy równowagi. I myślę, że częścią problemu obecnie jest to, że Stany Zjednoczone nie chcą zgodzić się, nie na nieistniejącą przewagę Sowietów, ale na zasady równości. Nieprawdą jest, że Stany Zjednoczone narzuciły sobie ostatnio ograniczenia - przeciwnie: Stany Zjednoczone rozwinęły w tym czasie rozmaite typy broni jak MIRVsy i Tridenty czy pociski Cruise, a także broń neutronową i inne. Chciałbym jednocześnie z naciskiem podkreślić, że my w tym czasie nie usiłowaliśmy uzyskać przewagi militarnej. P. Pewna ilość zachodnich specjalistów przyglądając się obradom na temat wzajemnych i zrównoważonych redukcji zbrojeń w Wiedniu utrzymuje, że nie ma równości w Europie Środkowej. Zastanawiają się czy Związek Sowiecki jest gotowy do wzięcia pod uwagę asymetrycznych redukcji?

O. Zauważyłem, że poważni zachodni analitycy nigdy nie kwestionowali równowagi sił. Twierdzą oni, że jeśli obecna tendencja będzie trwała, to Związek Sowiecki będzie miał za parę lat przewagę. Myślę, że odpowiedzią na to jest porozumienie, które powstaje w Wiedniu. Pomijając rozmowy na temat ile obecnie wojska i czołgów mają obie strony - nasza propozycja jest, żeby te cyfry były równe. Wspomina pan o asymetrycznych redukcjach. Przekładając to na zwykły język ma to zapewne znaczyć, że Związek Sowiecki powinien więcej zredukować, niż Zachód. Nie podoba nam się ten pomysł, ale nawet to nie ma znaczenia, jeżeli teraz dojdziemy do porozumienia co do równej ilości wojsk.

P. Rozwój Syberii jest następnym wielkim krokiem, który robi Związek Sowiecki na froncie ekonomicznym. Czy jest to ważnym elementem we współpracy ekonomicznej i politycznej z Zachodem?

O. O rozwój Syberii będziemy się starać w każdym razie. Ale oczywiście współpraca z Zachodem i z naszymi sojusznikami i przyjaciółmi z krajów socjalistycznych przyspiesza ten rozwój i ułatwia go. Im bardziej kraj będzie rozwinięty - tym bardziej staje się realny międzynarodowy podział pracy, a my jesteśmy za tym. Chcemy brać możliwie trwały udział w światowym handlu, w rozmaitych dziedzinach współpracy technologicznej i ekonomicznej. To może być prawdziwie znaczącym elementem odprężenia.

P. Zbigniew Brzeziński powiedział mi w wywiadzie, udzielonym mi rok temu "gdybyśmy i my i Rosjanie użyli całej swojej broni nuklearnej zginęłoby 10% ludzkości". Z mowy p. Breżniewa na ten temat wynika, że wywołało to niezadowolenie. Jakie jest pana zdanie na ten temat?

O. Przede wszystkim 10% to bardzo dużo. To oznacza 450 milionów ludzi, czyli sumę ludności Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Wydaje mi się, że to cena niedopuszczalna, za jakikolwiek cel, dla którego wojna mogłaby być wywołana. Poza tym myślę, że te 10% to przypuszczenie bardzo dowolne i wielu ludzi zajmujących się tym tematem, których znam nie zgodziłoby się z tą oceną. Wielu uczonych i specjalistów oceniają to zupełnie inaczej - biorą pod uwagę nawet taką możliwość, że wymiana nuklearna groziłaby bardzo mrocznymi perspektywami na przetrwanie ludzkości. A po trzecie, muszę powiedzieć, że byłem uderzony stylem i formą tej wypowiedzi. Zabrzmiało to bardzo złowieszczo, jeśli się weźmie pod uwagę, że było powiedziane przez jednego z najwyższych urzędników w rządzie Stanów Zjednoczonych. Można to oczywiście uznać za prywatną opinię p. Brzezińskiego, ale to tylko potwierdza moje wrażenie, że nie wszyscy Amerykanie rozumieją, że my nie mamy alternatywy w pokojowej koegzystencji w naszej nuklearnej epoce.

P. Jeśli możemy teraz zmienić temat, to chciałbym się spytać jaka jest pana opinia o amerykańskiej polityce. Kto pana zdaniem w rządzie Cartera decyduje o polityce zagranicznej?

O. Podjęliśmy w naszym instytucie badania nad byłymi prezydentami Stanów Zjednoczonych poczynając od Eisenhowera. Doszliśmy do wniosku, że dwa pierwsze lata prezydentury o niczym nie świadczą. Niektórzy z prezydentów zarządzili w rezultacie lepiej, niż można się było spodziewać po 2 pierwszych latach, a niektórzy zawodzili. Nie mam ochoty wyciągać żadnych ostatecznych wniosków, ale myślę, że w rządzie Cartera może on sam jest tym, który najwięcej decyduje.

P. To jest bardzo ostrożna odpowiedź. Ale kto pana zdaniem ma większy wpływ na prezydenta w sprawach kontaktów Wschód-Zachód? Vance czy Brzeziński?

O. Jeśli chodzi o Brzezińskiego, to jak pan wie nie ma on u nas bardzo dobrej opinii, według mnie nie może on być źródłem polityki Stanów Zjednoczonych. Może czasami jest on tym, który kieruje polityką zagraniczną - w zależności od swobody ruchów, którą otrzymuje, a może wskazuje tym którzy decydują o polityce amerykańskiej - jaką chcieliby mieć politykę. Myślę, że w rezultacie Departament Stanu ma bardziej długo-terminowy wpływ na politykę zagraniczną, większy niż doradca prezydenta, chociaż ja nie rozumiem jaka jest pozycja Brzezińskiego. Zapewne jest ona niemała.

P. Wielu z obecnych wyższych urzędników amerykańskiej administracji, to pokolenie Wietnamu. Czy myśli pan, że lekcja, jaką wyciągnęli z Wietnamu wpływa na ich obecną politykę zagraniczną?

O. Odpowiedź na to jest skomplikowana. Myślę, że starają się działać ostrożniej, żeby nie zaplatać się jeszcze raz w podobną sytuację. Jednocześnie powstała obawa, żeby po tej klęsce Ameryka nie przestała być brana poważnie zarówno przez swych przeciwników jak i sprzymierzeńców - i wobec tego trzeba zrobić coś, żeby naprawić sytuację i pokazać, że Ameryka liczy się i jest zdolna do ważnych poczynań. Dało się zauważyć przez pierwsze półtora roku rządów Cartera, że nadszedł czas, w którym mocno trzeba zaznaczyć, że Ameryka nie straciła swej potęgi. To może być czasem niebezpieczne. W rzeczywistości nie myślę, żeby ktokolwiek uważał, że po Wietnamie - który był oczywiście klęską dla Stanów Zjednoczonych, klęską złej polityki, za którą trzeba było zapłacić - Ameryka przestała być wielkim mocarstwem i straciła swoje wpływy. W ZSRR nikt nie chce się bawić w kotka i myszkę ze Stanami Zjednoczonymi. Rozumiemy wagę pokoju i odprężenia.

P. Brzeziński powiedział mi w zeszłym roku, że wierzy że "historyczną nieuchronnością naszych czasów jest nie jakaś utopijna rewolucja, ale wzrastające samoutwierdzenie się człowieka co do jego praw. Myślę, że dobrze, że Stany Zjednoczone biorą udział w tej nieuchronności". Jak widać Brzeziński uważa, że Stany Zjednoczone partycypują w tej walce o myśl współczesną. Pan prawdopodobnie jest innego zdania?

O. Wydaje mi się, że nie ma co sztucznie przeciwstawiać rewolucji prawom człowieka. Zapewniam pana, że nasza rewolucja walczyła właśnie o prawa człowieka. Należałoby tylko ustalić co się rozumie pod prawami człowieka. I to jest chyba istotne, bo przecież nie ograniczają się one tylko do prawa do emigrowania. Rozumiem, jak to jest ważne dla Amerykanów, którzy wszyscy oprócz Indian są emigrantami lub dziećmi czy wnukami emigrantów. Ale są przecież jeszcze inne ważne prawa człowieka. Każdy naród może wybrać pierwszeństwo jakiegoś prawa według swojego uznania. Tu u nas rewolucja wywalczyła bardzo podstawowe prawa. Przede wszystkim pokój, poza tym po prostu prawo do życia, do chleba, do nie-głodowania.

P. Rosja była zawsze bardzo krytyczna w stosunku do zachodnich posunięć w sprawach mniejszości rasowych i ich niedostatku w krajach Zachodu. Dlaczego wobec tego taka wrażliwość na krytykę własnych błędów w sprawach praw człowieka?

O. Widzi pan, to więcej niż krytycyzm - krytycyzm znamy od czasów rewolucji. To co nas teraz spotyka, to ustawiczne wysiłki mieszania się w nasze wewnętrzne sprawy i usiłowanie zaszkodzenia niektórym naszym instytucjom. Gdyby Związek Radziecki postępował tak w stosunku do Stanów Zjednoczonych - wzbudziłoby to wielką wrzawę.

P. Ale przecież robiliście to właśnie, popierając np. czarnych dysydentów w Stanach Zjednoczonych.

O. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Oczywiście jest, że wy macie swoją opinię na temat naszych instytucji, a my mamy swoją. Obie strony mają prawo wyrażać tę opinię. Taki jest świat i nie widzę możliwości zmiany tej sytuacji. Ale jaka byłaby reakcja w Stanach Zjednoczonych, gdyby np. nasza delegacja parlamentarna przyjechała do was i urządziła potajemne czy pół-potajemne spotkania z rodzinami 10 z Wilmington czy z Indianami walczącymi pod Wounded Knee czy z przywódcą Czarnych Panter? I gdyby nasi dziennikarze byli z nimi w stałym kontakcie, zbierali od nich informacje i tu je ogłaszali, wspomagali ich finansowo i wydawali im polecenia? Wzbudziłoby to niewątpliwie wielką wrzawę w Stanach Zjednoczonych. A tak właśnie postępują u nas Amerykanie i nie tylko oni.

P. Francuska Partia Komunistyczna poniosła klęskę w tegorocznych wyborach. Czy myśli pan, że europejskie partie komunistyczne we Francji, Włoszech czy Hiszpanii mają w niedalekiej przyszłości szanse dojścia do władzy lub brania w niej udziału?

O. Jeśli chodzi o dojście do władzy, to sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała, nie można jednak tego wykluczyć. Ale jeśli chodzi o branie udziału w rządach, to nieoficjalnie już to nastąpiło.

P. Myśli pan o Włoszech?

O. Tak, o Włoszech.

P. Jeszcze gdzieś?

O. Nie, ale we Francji jest to silna partia, a także w Finlandii.

P. Czy chciałby pan, żeby Włoska Partia Komunistyczna ze swoim obecnym kierownictwem weszła do rządu?

O. Jako komunista oczywiście chciałbym ich widzieć u władzy i osiągających jaknajwiększe sukcesy.

P. Czy nie myśli pan, że taka partia komunistyczna, krytycznie nastawiona do Komunistycznej Partii ZSRR - posiadająca władzę, ze znaczeniem i pozycją jakie by jej to dało, mogłaby mieć ujemny wpływ na ogólny rozwój komunizmu, w który pan wierzy?

O. Nie, nie myślę. My uważamy, że każda partia komunistyczna ma prawo szukać swoich własnych metod i dróg w walce politycznej i w budowaniu nowego społeczeństwa. To nie jest teoria - wystarczy przypatrzeć się Partiom Komunistycznym Bułgarii, Węgier, Polski, Niemców czy Czech - w każdym z tych krajów jest inaczej. Bardziej skomplikowane są nasze stosunki z Jugosławią. Czasami krytykujemy się wzajemnie, ale myślę, że dobrze, że Jugosławia jest socjalistyczna - nie przynosi nam to szkody. Jeżeli jakiś kraj staje się socjalistyczny i eksperymentuje po swojemu i udaje mu się - chętnie korzystamy z jego doświadczeń, jeśli mu się nie udaje - to wyrażamy żal. Zawsze przecież możemy podyskutować z sobą z całą dobrą wolą. Nie mówię tu o złośliwych atakach Chińczyków przeciwko nam. To nie oskabi socjalizmu, może mu to tylko pomóc, jeśli polityka będzie słuszna, uwzględniająca właściwości danego kraju, szukająca nowych, własnych form, ale jednocześnie rozumiejąca podstawowe zasady - nie tylko teoretyczne - ale ogólny kierunek układów ekonomicznych i w innych dziedzinach.

P. Wspomniał pan Chiny. Czy Chiny przedstawiają poważną militarną groźbę dla ZSRR?

O. Nie boimy się Chin, nie mamy też kompleksu niższości, ale nie można tego problemu nie brać pod uwagę. Jest to kraj o prawie miliardzie mieszkańców, kraj o - myślę - największej armii na świecie i jego przywódcy uważają wojnę za nieuniknioną, a odprężenie za próbę oglupiania ludzi. Musimy to traktować poważnie, szczególnie, że mamy wspólną granicę długości kilku tysięcy kilometrów.

P. Układ o ograniczeniu broni strategicznej jest specjalnie ważny dla Związku Sowieckiego, bo rozliczni to napięcie na froncie europejskim i umożliwi koncentrację sił wojskowych na Wschodzie, prawda?

O. Nie widzę związku między jednym a drugim - to co uważaliśmy za konieczne, żeby zabezpieczyć się na granicy chińskiej już zostało wykonane.

Układ o kontroli zbrojeń uważamy za dobrodziejstwo, które ułatwi nam rozwój ekonomiczny i rozwiąże inne problemy. Jeśli natomiast Chińczycy staną się groźniejsi, bardziej agresywni i powiększą w sposób istotny swoje siły wojskowe - będziemy zmuszeni do poczynienia pewnych kroków bez względu na SALT. Nasz naród, jestem pewny, zrozumie taką konieczność.

P. Czy myśli pan, że niedawny układ chińsko-japoński wpłynie jakoś na stosunki sowiecko-amerykańskie?

O. Trudno jest ocenić przyszły los i wpływ tego układu. Jeśli stanie się ścisłym sojuszem - może mieć nawet światowe znaczenie, może zaniepokoić niektórych. Myślę, że Amerykanie przede wszystkim nie będą lubili połączenia japońskiej technologii z tanią chińską siłą roboczą i zasobami. Konkurencja wzrośnie. Ten układ spowodował pewne napięcie naszych stosunków z Japonią, mimo że Japończycy oświadczyli, że chcą kontynuować dobrą relację ze Związkiem Sowieckim i że układ z Chinami nic do tego nie ma. Pódczekamy i przekonamy się jaka będzie naprawdę polityka Japonii.

Jednocześnie jest to sprawdzian politycznej mądrości i zamierzeń Zachodu. Oczywiście zaistniała pokusa, żeby poprawa stosunków z Chinami posłużyła wzmoczeniu nacisku na ZSRR. Nie leży w naszym interesie psucie sobie stosunków z krajami, które poprawiły swoje stosunki z Chinami. Ale jeśli dokonuje się to na anty-sowieckiej bazie, to może to wpłynąć na te stosunki. Faktem jest, że decyzje teraz podejmowane mogą wpłynąć na przyszłe stosunki międzynarodowe. W pogoni za chwilowymi sukcesami można zapomnieć, że w rezultacie nowe układy stosunków międzynarodowych nikogo nie zadowolą. Są rozmaite możliwości. Jedną z nich, która mam nadzieję nie będzie miała miejsca, to ta, że Chiny stałyby się partnerem Zachodu w sensie militarnym. Wtedy cała sytuacja będzie się dla nas przedstawiać inaczej. Musielibyśmy przeanalizować nasze stosunki z Zachodem. Jeśli taka oś powstanie na bazie anty-sowieckiej nie ma mowy o odprężeniu. Weźmy np. negocjacje na temat ograniczeń zbrojeń: jaki wens miałaby nasza zgoda na ograniczenie zbrojeń w Europie, jeśliby Zachód przerzucił po prostu swoje siły wojskowe na wschodni front. Ale to nie tylko to. Jeśli Chiny powiększą swoją militarną siłę z pomocą Zachodu, wywoła to nowy łańcuch reakcji w wyścigu zbrojeń. Mam na myśli Indie i Pakistan i ich sąsiadów - całe pasmo powiązań w południowo-wschodniej Azji i częściowo na Pacyfiku. Nie boimy się, jesteśmy przekonani, że Chińczycy wiedzą dobrze, że mamy możliwości obrony, które czynią z nas trudny obiekt dla agresji. I nie zwróca się przeciwko nam wobec tego. Nie mówię, że jest to niemożliwe. Mam nadzieję, że nie rozwinie się to w tym kierunku, że naturalny kierunek będzie odwrotny: że Chiny zwróca cały swój wysiłek na rozwiązanie ogromnych wewnętrznych problemów jakie mają, że będą rozwijać swój kraj, starać się o podniesienie stopy życiowej itd., że Chiny w odpowiednim czasie przyłączą się do wysiłków, które są podejmowane w sprawie odprężenia i kontroli zbrojeń. Ale tu dużo zależy od wpływu jaki mają na politykę Chin Stany Zjednoczone, Japonia i kraje Europy Zachodniej.

P. Marks w swoich najśmielszych marzeniach nie myślał chyba o dwóch marksistowskich mocarstwach w układach konfliktowych?

O. Już dawno Chińczycy nie mają nic wspólnego z marksizmem. Ich polityka jest bardzo nacjonalistyczna. Byli oczywiście w Chińskiej Partii Komunistycznej prawdziwi marksiści, ale część z nich umarła, niektórzy zostali odsunięci lub uwięzieni czy zabici w czasie Rewolucji Kulturalnej lub jakiś czas potem. Nie jestem specjalistą od spraw chińskich, ale myślę że jest teraz pewien nawrót może nie do marksizmu, ale przynajmniej do zdrowego rozsądku w ekonomicznej polityce Chin. I pewne odejście od najbardziej skrajnych marksistowskich koncepcji czy zasad.

P. Ale to to nowe kierownictwo podpisało układ chińsko-japoński?

O. Tak, tu jest rozbieżność. Polityka zagraniczna jest inna. Mam na ten temat własne koncepcje. Nie mogę uwierzyć, żeby przywódcy chińscy naprawdę obawiali się, że my rozpoczniemy z nimi wojnę. Nawet przyjmując, że nie żyjemy do nich żadnych przyjaznych uczuć, muszą przecież rozumieć, że byłoby to wbrew rozsądkowi. Podejrzewam, że oni potrzebują takiej obecnej groźby - widomego zła, dla scementowania społeczeństwa. Uważają też swoją anty-sowiecką politykę za skuteczną przy uzyskiwaniu pomocy od Zachodu. Niewątpliwie, gdybyśmy byli z nimi teraz w takich stosunkach jak w latach pięćdziesiątych, nie cieszyłoby się całym tym zainteresowaniem, kredytami, stosunkami handlowymi i pomocą jakie otrzymują - może uważają wobec tego, że otrzymują to wszystko dzięki swojej anty-sowieckiej polityce.

P. Od Zachodu?

O. Od Zachodu,

P. Powiedziak pan, że jeśli Chiny staną się sojusznikiem Zachodu, nawet nieformalnym, nie ma wtedy mowy o odprężeniu. W jakim pana zdaniem momencie Zachód zacznie być takim sojusznikiem? Czy wtedy gdy Anglia sprzeda Chinom odrzutowce Harrier? Czy to byłoby przekroczeniem tej granicy?

O. Nie byłoby dobrze, gdyby Anglicy to zrobili, nie sprzyjałoby to odprężeniu. Oczywiście trudno jest ustalić, kiedy zmiany ilościowe przechodzą w zmiany jakościowe. To rozwinięłoby nową sytuację polityczną. Chcę wyrazić nie podkreślić, że wojskowy aspekt tego programu jest bardzo ważny. Ważna jest też obecna sytuacja międzynarodowa. Myślę, że jeżeli polityka odprężenia będzie uporczywie kontynuowana i nastąpi osłabienie napięcia i kontrola zbrojeń itd., to wpłynie to poważnie na postępowanie wszystkich krajów nie wyłączając Chin. Ale nie można jednocześnie starać się o odprężenie i wciągać Chiny do Paktu Północno-Atlantyckiego jako sojusznika.

P. Nie jest oczywiście możliwe, żeby Chiny stały się formalnym sojusznikiem, więc raczej mówmy tylko o pomocy w wyekwipowaniu armii chińskiej. Ile pana zdaniem sprzedanych odrzutowców Harrier przestanie być transakcją handlową a zacznie być pomocą militarną?

O. Wolalbym, żeby ani jeden nie był sprzedany. W momencie kiedy narody świata zaczynają dopiero dyskutować na temat sprzedaży broni innym krajom - sprzedawanie broni krajowi, wrogo nastawionemu do nas i do wielu innych krajów nie może być uważane za posunięcie zgodne z dobrymi intencjami.

P. To w ten sposób Chruszczow sprzedawał rakiety Kubie?

O. Nie jestem pewien czy sprzedawał.

P. Przekazywał je.

O. Raczej bliższym przykładem byłoby może sprzedawanie przez nas rakiet Irlandii Północnej, chociaż sprzyjamy ich sprawie.

P. Byłoby to może nieco podobniejsze do przekazywania rakiet Kubie.

O. Może - ale podstawowe pytanie jest takie: czy chcecie budować most w poprzek rzeki czy wzdłuż? Jaką chcecie stworzyć międzynarodową sytuację w tej niebezpiecznej, nuklearnej epoce? Czy chcecie mieć prawdziwe, mocne gwarancje przeciw katastrofie, przeciw zagładzie? Myślę, że potrzebujemy więcej niż 100% gwarancji, ponieważ ryzyko jest tak wielkie. Jeżeli chcecie odprężenia w Europie, jeżeli chcecie ograniczeń zbrojeń w Europie, byłibyście bardzo nierozsądni i niekonsekwentni i wręcz samobójczy, jeśli jednocześnie tworzylibyście niebezpieczną sytuację w innej części świata.

P. Co myśli pan o stwierdzeniu Zbigniewa Brzezińskiego na początku tego roku, że wietnamsko-kambodżańskie starcie było pierwszym krokiem w prowadzonej przez pośredników wojnie między Związkiem Sowieckim a Chinami?

O. To nonsens. Sytuacja jest zupełnie inna. Nie chcemy toczyć wojny z Chinami ani bezpośrednio ani pośrednio. Chińska polityka w stosunku do Kambodży jest skierowana przeciwko Wietnamowi. Dla tych ludzi na Zachodzie, którzy są tak rozmiłowani w prawach człowieka, Kambodża ujawnia, jakich Chińczycy używają wpływów, jeżeli te wpływy w jakimś kraju mają. Jest to zwyczajne ludobójstwo.